ROZDZIAŁ 2

Nasz dom jest mały, nawet jak na miejscowe normy, ale przynajmniej mamy ładne widoki. Tata podczas jednej z przepustek, jeszcze zanim został ranny, zbudował go tak wysoko, żebyśmy mogli spoglądać na drugi brzeg rzeki. Nawet w letniej mgle widać połacie nagiej ziemi, pozostałość po lesie wykarczowanym do ostatniego pnia. Wyglądają niczym porażone chorobą, jednak nienaruszone wzgórza rozciągające się na północ i zachód dodają otuchy. „Gdzieś tam jest jeszcze tyle do odkrycia". Jest coś więcej poza nami, poza Srebrnymi, poza wszystkim, co znam.

Wspinam się do domu po wytartych drewnianych szczeblach dopasowanych kształtem do dłoni i stóp, które codziennie wchodzą po drabinie i z niej schodzą. Z tej wysokości widzę kilka łodzi płynących w górę rzeki oraz dumnie powiewające na nich jaskrawe bandery. „Srebrni". Tylko ich stać na to, żeby korzystać z prywatnego transportu. Podczas gdy oni podróżują w luksusie statkami, pojazdami na kołach, a nawet wzbijają się pod niebo

w swoich sterowcach, nam pozostają jedynie nogi albo rowery, jeśli komuś się poszczęści.

Łodzie z pewnością zmierzają do Summerton, niewielkiego miasta, które ożywa dzięki letniej rezydencji monarchów. Gisa była tam dzisiaj, pomagała szwaczce, u której terminuje. Gdy przyjeżdża król, Gisa i jej mistrzyni często chodzą na targ sprzedawać swoje wyroby Srebrnym kupcom i arystokratom ciągnącym za rodziną królewską niczym pisklęta za kwoką. Sama rezydencja nosi nazwę Palatium Słońca i ponoć jest istnym cudem, ale nie widziałam jej jeszcze na oczy. Nie wiem, po co monarchom drugi dom, zwłaszcza że pałac w stolicy jest niezwykle wytworny i piękny. Jednak działaniami Srebrnych nigdy nie powoduje potrzeba. Tylko zachcianka. I zawsze dostają to, co zechcą.

Zanim otworzę drzwi i zobaczę dobrze znany rozgardiasz, głaskam flagę zawieszoną na werandzie. Trzy czerwone gwiazdy, po jednej na brata, naszyte na pożółkłym materiale, na którym zostało jeszcze trochę miejsca. „Dla mnie". Większość domów zdobią podobne sztandary, niektóre z czarnymi paskami, ponurymi symbolami upamiętniającymi nieżyjące dzieci.

– Wróciłam – rzucam w przestrzeń. Tata odpowiada machnięciem ręki, mama skinieniem głowy, Gisa nawet nie podnosi oczu znad skrawka jedwabiu.

Ciskam na stół obok niej woreczek ze skradzionym łupem i specjalnie robię to na tyle mocno, żeby monety głośno zabrzęczały.

– Chyba wystarczy na przyzwoity tort urodzinowy dla taty. I na baterie do końca miesiąca.

Gisa mierzy spojrzeniem sakiewkę i krzywi się z niesmakiem. Ma zaledwie czternaście lat, ale jest bystra jak na swój wiek.

– Kiedyś cię dopadną i zabiorą ci wszystko.

– Uważaj, bo zzieleniejesz z zazdrości, Giso. – Przesuwam dłonią po głowie siostry, ta zaś błyskawicznie unosi ręce, żeby zaczesać do tyłu pasma swoich idealnych, lśniących rudych włosów i wetknąć je z powrotem w nienaganny kok.

Zawsze chciałam mieć taki kolor włosów, choć nigdy nie przyznam się do tego na głos. Jej włosy płoną niczym ogień, moje zaś przypominają rzekę błota. Ciemne u nasady, jasne na końcach, gdyż naturalna barwa szybko z nich ucieka przez codzienny znój życia w Palach. Większość kobiet strzyże się na krótko, chcąc ukryć siwiznę, ale ja tego nie robię. Wolę, aby nawet włosy przypominały o tym, że życie nie powinno tak wyglądać.

– Nie jestem zazdrosna – prycha Gisa, wracając do pracy. Wyszywa ogniste kwiaty, każdy niczym żywy płomień połyskujący na tle smoliście czarnego jedwabiu.

– Ale to piękne, Gi. – Przeciągam palcami po jednym z kwiatów i rozkoszuję się jedwabistym dotykiem tkaniny. Siostra spogląda na mnie i łagodnie się uśmiecha, ukazując równe zęby. Choćbyśmy nie wiem ile się sprzeczały, Gisa wie, że jest dla mnie najważniejsza.

„I wszyscy wiedzą, że to ja jestem zazdrośnicą, Giso. Nie umiem robić nic poza okradaniem ludzi, którzy potrafią coś stworzyć”.

Gdy skończy termin, będzie mogła otworzyć własny zakład. Srebrni będą się zjeżdżali z całej okolicy, żeby płacić jej za chusteczki, flagi i ubiory. Gisie uda się to, co udaje się zaledwie garstce Czerwonych – będzie miała dostatnie życie. Zadba o rodziców i zleci mnie i braciom jakieś prace, żebyśmy nie musieli iść na wojnę. Pewnego dnia uratuje nas wszystkich dzięki zwykłej igle i niciom.

– Jak noc i dzień, te moje córki – mruczy mama, przeczesując palcami siwiejące włosy. Nie ma na myśli nic złego, tylko stwierdza drażliwą prawdę. Gisa jest utalentowana, ładna i urocza. Ja jestem trochę bardziej szorstka, jak grzecznie ujmuje to mama. Gisa to promień światła, a ja – czający się za nim cień. Zdaje się, że jedyną rzeczą, jaką mamy wspólną, są kolczyki, pamiątki po braciach.

Z kąta, w którym siedzi tata, dobiega rzężenie, a następnie głuchy łomot, gdy ojciec uderza pięścią w piersi. Ten rytuał powtarza się często, ponieważ tata ma tylko jedno prawdziwe płuco. Życie ocaliły mu umiejętności Czerwonego medyka, który zastąpił zapadnięte płuco urządzeniem oddychającym za niego. Nie jest to wynalazek Srebrnych, gdyż oni nie potrzebują takich rzeczy. Mają Uzdrowicieli. Ci jednak nie marnują czasu na ratowanie Czerwonych czy choćby na służbę na pierwszej linii frontu, gdzie żołnierze padają jak muchy. Większość Uzdrowicieli rezyduje w miastach, zajmując się przedłużaniem życia wiekowych Srebrnych, leczeniem wątrób przeżartych alkoholem i tym podobnych. Musimy więc uciekać się do krążących na czarnym rynku technologii i wynalazków. Niektóre z nich są do niczego, większość w ogóle nie działa – ale ten kawałek szczękającego metalu uratował tatę przed śmiercią. Przez cały czas słychać cichutkie tykanie, mechaniczny puls umożliwiający tacie zaczerpnięcie kolejnego oddechu.

– Nie chcę tortu – burczy, zerkając na swój coraz bardziej wydatny brzuch.

– No to powiedz, tato, czego chcesz? Nowy zegarek czy…

– Mare, według mnie zegarek skradziony z czyjegoś nadgarstka nie jest n o w y.

Zanim w domu Barrowów dojdzie do kolejnej kłótni, mama zdejmuje z pieca garnek z potrawką.

– Kolacja gotowa. – Stawia kociołek na stole, a parujący z niego dym leci wprost na mnie.

– Pachnie wspaniale, mamo – kłamie Gisa. Tata wykazuje się nieco mniejszym taktem i krzywi się na widok posiłku.

Nie chcę znów wyjść na najgorszą, siadam więc i wmuszam w siebie kilka łyżek potrawki. Ku swojemu zaskoczeniu i z nie lada przyjemnością zauważam, że nie jest tak ohydna jak zwykle.

– Dodałaś trochę pieprzu, który przyniosłam?

Zamiast przytaknąć i uśmiechnąć się w podzięce za to, że doceniłam jej wysiłek kulinarny, mama tylko się rumieni i nie odzywa ani słowem. Wie, że jak wszystkie moje podarunki również przyprawa była kradziona.

Pochylona nad miską Gisa przewraca oczami, wyczuwając, dokąd zmierza rozmowa.

Można by pomyśleć, że wszyscy powinniśmy już przywyknąć do tego stanu rzeczy, oni jednak bez przerwy okazują mi swoje niezadowolenie.

Mama wzdycha, opiera się łokciami o stół i chowa twarz w dłoniach.

– Mare, wiesz, że jestem wdzięczna… tyle że wolałabym…

Dokańczam zdanie za nią:

– … żebym była jak Gisa?

Mama kręci głową. Znów kłamie.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie o to mi chodzi.

– Jasne. – Bez wątpienia moje rozgoryczenie dałoby się wyczuć aż na drugim końcu wioski. Ze wszystkich sił staram się, aby głos mi nie zadrżał. – Tylko tak mogę pomóc, zanim… zanim wyjadę.

Wzmianka o wojnie to najlepszy sposób, aby zamknąć usta wszystkim domownikom. Nawet rzężenie taty cichnie.

Mama obraca głowę, policzki pałają jej gniewem. Pod stołem dłoń Gisy zaciska się na mojej.

– Wiem, że robisz, co możesz, i że chcesz dobrze – szepcze mama. Dużo ją kosztuje wypowiedzenie tych słów, ale i tak przynoszą mi pociechę.

Milczę, stać mnie jedynie na potakujące skinienie głową.

Wtedy Gisa podskakuje na krześle, jak gdyby poraził ją prąd.

– Och, prawie zapomniałam. Po drodze z Summerton zajrzałam na pocztę. Przyszedł list od Shade'a.

Nowina działa jak wybuch bomby. Mama i tata rzucają się na pobrudzoną kopertę, którą Gisa wyjmuje z marynarki. Cierpliwie czekam, patrząc, jak przekazują sobie list z rąk do rąk i uważnie go oglądają. Żadne z nich nie potrafi czytać, dlatego starają się ustalić jak najwięcej z samego stanu pisma.

Tata obwąchuje papier, usiłując pochwycić jego zapach.

– Sosna. Nie czuję dymu. To dobrze. Są daleko od Duszni.

Wszyscy oddychamy z ulgą. Dusznią nazywamy zniszczony w bombardowaniach pas ziemi łączący Nortę z Lakelandią, na którym toczy się największa część działań wojennych. Żołnierze spędzają tam większość czasu, chowając się w okopach i czekając, aż wylecą w powietrze lub przypuszczą kolejny szaleńczy szturm, który skończy się masakrą. Pozostałą część granicy stanowią w głównej mierze jeziora, choć na dalekiej północy linia graniczna przebiega przez tundrę, panuje tam jednak zbyt mroźny i surowy klimat, aby można było prowadzić walki. Wiele lat temu tata został ranny w Duszni, gdy na jego oddział spadła bomba. Teraz ten teren jest tak wyniszczony przez toczącą się od dziesięcioleci walkę, że dym wybuchów

nieustannie wisi w powietrzu niczym mgła, a na zrytej ziemi nic już nie rośnie. To miejsce martwe i ponure, podobnie jak przyszłość tej wojny.

W końcu list trafia do mnie, ja zaś otwieram go i czytam z ogromną niecierpliwością, a jednocześnie boję się wiadomości o losach Shade'a.

Droga rodzino, żyję. To chyba jasne.

Tata i ja chichoczemy, nawet Gisa się uśmiecha. Mamy nie rozbawiła ta uwaga, choć Shade każdy list zaczyna w ten sposób.

Wycofano nas z frontu, co Tata pewnie wyniuchał. Fajnie wrócić do głównego obozu. Czerwono tu jak o świcie, Srebrnych oficerów prawie się nie spotyka. Poza tym nie ma dymu i codziennie coraz wyraźniej widać, jak wstaje słońce. Ale nie pobędziemy tu długo. Dowództwo planuje przerobić nas na oddział do walki nawodnej i wysłać na jeden z nowych okrętów wojennych. Spotkałem medyczkę odkomenderowaną z macierzystego oddziału, która powiedziała, że zna Tramy'ego i że ma się on dobrze. Dostał odłamkiem, kiedy wycofywali się z Duszni, ale szybko się wylizał. Nie było zakażenia ani trwałego okaleczenia.

Mama głośno wzdycha, kręcąc głową.

– Nie ma trwałego okaleczenia – zauważa szyderczo.

Wciąż nie wiem nic o Bree, ale nie martwię się. Jest z nas najsilniejszy i niedługo minie mu pięć lat służby, więc czeka go przepustka. Jeszcze trochę i będzie w domu, Mamo, więc przestań się martwić. Nic więcej

się nie dzieje, przynajmniej nic takiego, o czym mogę napisać w liście. Giso, nie popisuj się za bardzo, chociaż masz czym. Mare, nie bądź cały czas taka wredna i przestań bić tego chłopaka od Warrenów. Tato, jestem z Ciebie dumny. Cały czas. Kocham Was wszystkich.

Wasz ukochany syn i brat, Shade

Jak zwykle słowa Shade'a poruszają nas do głębi. Wystarczy, że trochę się wysilę, i niemal słyszę jego głos. Chwilę później lampy nad nami nagle zaczynają buczeć.

– Nikt nie włożył kartek, które przyniosłam wczoraj? – pytam, zanim światło gaśnie, pogrążając dom w ciemnościach. Gdy oczy dostosowują mi się do mroku, dostrzegam, że mama kręci głową.

Gisa wydaje jęk.

– O nie, znów się zaczyna? – Odsuwa krzesło ze zgrzytem. – Idę spać. Postarajcie się nie krzyczeć za głośno.

Nam jednak brakuje już sił, żeby krzyczeć. Zdaje się, że tak można pokrótce opisać mój świat – „na wszystko brakuje już sił". Mama i tata znikają w sypialni, zostawiając mnie samą przy stole. Zwykle wymykam się z domu, teraz jednak jedyne, na co mam ochotę, to pójść się położyć.

Wspinam się po kolejnej drabinie na poddasze, na którym chrapie Gisa. Nie znam drugiej osoby, która tak szybko zapadałaby w sen, wystarczy jej minuta lub dwie, podczas gdy mnie czasami zajmuje to godziny. Osuwam się na łóżko i jestem zadowolona, że mogę sobie poleżeć i potrzymać w dłoniach list od Shade'a. Tak jak powiedział tata, mocno pachnie sosną.

Tego wieczoru przyjemnie słucha mi się rzeki przelewającej się między głazami sterczącymi po obu brzegach, a jej szum kołysze mnie do snu. Nawet stara lodówka, zardzewiały grat na baterie, którego wycie zwykle przyprawia

mnie o ból głowy, teraz mi nie przeszkadza. Z objęć snu, w który powoli się osuwam, wytrąca mnie jednak ptasi trel. Kilorn.

„Nie. Idź sobie".

Kolejny trel, tym razem głośniejszy. Gisa porusza się, obraca głowę na poduszce.

Mrucząc coś pod nosem i czując, że najchętniej udusiłabym Kilorna, gramolę się z łóżka i zsuwam po drabinie. Inna dziewczyna zapewne potknęłaby się o sprzęty zagracające duży pokój, ale ja doskonale wyczuwam i omijam wszelkie przeszkody. Doskonalę tę umiejętność od kilku lat, umykając przed strażnikami. Sekundę później jestem już na dole, ląduję w błocie, które sięga mi po kostki. Z mroku zalegającego pod domem wyłania się czekający na mnie Kilorn.

– Mam nadzieję, że lubisz kolor śliwkowy, bo z chęcią pokoloruję ci oko na fioletowo za to, że mnie budzisz…

Patrzę na jego twarz i nieruchomieję.

Płakał. „Kilorn nie płacze". Ma pokrwawione kłykcie i założę się, że gdzieś w okolicy jakaś ściana jest równie poharatana jak jego dłonie. Wbrew sobie, pomimo że jest prawie środek nocy, natychmiast zaczynam się o niego martwić, a nawet bać.

– O co chodzi? Co się stało? – Bez zastanowienia ujmuję go za rękę, pod palcami czuję jego krew. – Co się dzieje?

Zbiera się przez chwilę, zanim otwiera usta, aby odpowiedzieć. W tym momencie mój lęk zmienia się w przerażenie.

– Mój mistrz odszedł. Umarł. Nie jestem już uczniem.

Usiłuję powstrzymać okrzyk, ale moje stłumione westchnienie i tak się rozlega, szydząc z nas obojga. Chociaż nie musi, chociaż wiem, co usiłuje mi powiedzieć, Kilorn tłumaczy:

– Nie skończyłem terminu i teraz… – zacina się. – Mam osiemnaście lat. Inni rybacy mają swoich uczniów. Nie pracuję. Nie mam jak zdobyć pracy.

Następne zdanie przeszywa mi serce niczym sztylet. Kilorn z trudem wciąga powietrze, a ja marzę, żeby nigdy nie powiedział tego, co zaraz mam usłyszeć.

– Poślą mnie na wojnę.